POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 25 MAJA 1929 ROKU NR. 21

JERZY OSTROWSKI

4)

JAZONEJA

(POWIEŚĆ EGZOTYCZNA)

Messel stał z krzywym uśmiechem przy drzwiach, a Cobus niedaleko, pod ścianą, siedział z bladą twarzą. Wtem wstał stary Szuk powolnym, ciężkim ruchem i powiedział:

— Uczą nas, żebyśmy sobie każdy po swojemu sprawiedliwość robili. To ma być nowe prawo dla nas. A ja wam powiem, że u nas jest stare prawo, co nas w kościele uczyli: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy..."

Wyprostowali się mężczyźni i dziwnie poczęli ruszać wąsami.

— Ty, Cobus — powiedział surowo Szuk — nie miałeś prawa bić człowieka i chcesz być z nami, to się ich obyczajów nie ucz. A pan, panie Messel, też do sądzenia się nie rwij. A tera wam mówię — nie chcecie, żeby się z nas śmieli, że do swoich kłótni cudzych wołamy, to sobie podajcie ręce, po chrześcjańsku, bośmy tu w obcym kraju i jak nie ten Bóg nad nami — to nikt!

Cobus wstał pierwszy i wyciągnął otwartą rękę. Podał i Messel swoją. Podobało się to zdziwionym brazyljanom i wołali: „Muito bem!" A gromada milczała, bo nie mieli ci ludzie tej łatwości słowa do wypowiedzenia tego, co ich za grdykę trzymało.

Padło jednak między tuziemców a przybyszów coś obcego i sami nie wiedząc dlaczego — poczęli się rozchodzić. Kiedy wszyscy wyszli, do starego podszedł Cobus i rzekł z trudem:

— Żebyście nie myśleli czego tam — to wam powiem. To po krewnych. Żółta Śmierć ich zabrała. A ja ledwie doszedł. Aż od Stanu św. Ducha. Od miasta Wiktorja. A złością ze mną nic. Ja już tak.

— Twoja rzecz — powiedział spokojnie Szuk. Ale z gromadą takiemu trudno.

Po tej awanturze, Cobus wpadł znowu na jakiś czas w nieruchomość zupełną. Potrafił leżeć godzinami na tapczanie lub siedzieć na progu, monotonnie świszcząc przez zęby. Jeżeli robili coś inni — robił i on i taksamo powoli i ciężko, jak inni. Dopiero jakaś niewiadoma iskra zapalała w nim wszystko: wówczas strzelał, jak rakieta. Było to u niego, jak przerwy pomiędzy wojnami czy łowami u mężczyzn okresu jaskiniowego. Pozwalał, żeby kobiety kręciły się przy ciągłej robocie, a nawet, że Weronka przynosiła mu misę aż na wyrko, niby, że jeszcze słaby.

Dopiero znacznie później przypominali sobie uczestnicy tych ciężkich dni dziwne zachowanie się Messla, po tych wypadkach. Prawda, że grupki, do których zbliżał się teraz Messel — same topniały powoli, że nawet któryś (bodaj czy nie Watras) powiedział mu chytro - skromnie: „Gdzie tam nam zrozumieć takie mądrości!" czy coś takiego; faktem jednak jest, że Messel w tych dniach wszedł na swoją drogę i może wtedy decydowało się, że miał odegrywać w kolonji tę rolę, którą w następstwie odegrywał.

Widziano go parę razy idącego w stronę domku Dyrekcji, ale José machał niechętnie i lekceważąco ręką, gdy było o niego pytać. Potem stale przesiadywał u Syryjczyka — „wendziarza" i coś deliberowali.

Zresztą było zadużo innych spraw, bliskich, palących. Szuk stał znowu na czele swojej gromady, w sprawie owej pracy przy kolei. Rzucił on hasło: „Na swoją ziemię!" i nie słuchał perswazji. Za nim — ponuro i z uporem powtarzała to hasło cała gromada. Bez znajomości języka i prawa, bez znajomości terenu i warunków pracy — dawali sobie radę, pierwotnym instynktem dążąc do właściwego sobie podłoża: kawałka własnej ziemi. Bronili się — a zwłaszcza Szuk — kilkoma poznanemi już wyrazami, domyślając się, gdzie było potrzeba, a nie rozumiejąc nic zgoła, kiedy to im było wygodniej. Wysłuchiwali cierpliwie kwiecistych przemów, po portugalsku i niemiecku, oraz dowolnych nieco tłumaczeń Andrégo, a potem wracali do swego, jakby nic nie było mówione.

Zżymali się i dyrektor Reich i jego pisarz, kędzierzawy młodzieniec, z zielonym krawatem, ale nie mogli przekonać gromady.

A ona w walce tej nabrała pewności siebie i spoiła się jeszcze bardziej.

Cobus też został objęty wspólnym pniem, jak gwóźdź wbity w drzewo i oblany żywicą, a potem obrośnięty miazgą.

Trwało to. Chodzili do „fornecedora", brali produkty na kwity, zbierali się wieczorami i radzili. A było o czem, wszystko było tak bardzo nowe i inne, że trzeba było mieć twardy, trzeźwy rozum, żeby się nie pomieszał. Już niejeden osadnik, który z tej szkoły wyszedł, sam nie pamięta, jak to trzeba było do wszystkiego nałamywać głowę i język, żeby się nie zgubić. Bo już nawet nie o to chodziło, że księżyc wschodził na niebie do góry rogami i że kościoła nie było, aleć wydawało się gromadzie, jakby samego Bo-

ga nie było w tej ziemi, a jeśli był — to czy czasem... nie inny? A potem nieznane choroby różne i owadów dokuczliwych taka moc, że prawie wydawało się, iż na każdy rodzaj dokuczenia — jest wymyślony inny gatunek. A jeszcze śmieli się tutejsi, że to nic, boć zima i nie w lesie, ale co jeszcze będzie!... Tak, że strach chwytał nieraz przed tą „swoją" ziemią. Nie wszyscy też wytrzymali: wiadomo jest, że była (niewielka coprawda) gromadka, co piechotą poszła zpowrotem do portu.

Tak byli zmęczeni tem wszystkiem, że chcieli się jąć jakiegokolwiek zajęcia, aby uwolnić głowy od nadmiaru myśli. To ułatwiło pertraktacje. Zwłaszcza, że i dyrektor Reich ustąpił: pomiary miały być przyspieszone, wysłani delegaci do obejrzenia ziemi, sprowadzone narzędzia i nasiona. Postanowiła więc i gromada ruszyć do pracy przy owej kolei. „Tymczasem".

A już od pewnego czasu gromadzili się robotnicy tutejsi do tej pracy. Zetknęła się z nimi gromada na dobre dopiero, kiedy rozpoczęto samą pracę, bo baraki ich były osobno zgrupowane. Zetknęła się i — cofnęła nieufnie.

Bo też owe dwa szeregi ludzi, które wyciągnęły się wzdłuż wytyczonego toru, stanowiły mocno oryginalną mieszaninę i bynajmniej nie budziły zaufania. Oprócz przybyszów z za Oceanu, wśród których było kilka narodowości — byli tam murzyni z północnych stanów, mulaci i metysi. Słychać było w tej zbieraninie wszystkie języki świata, a raczej wszystkie przekleństwa świata. I tu trzeba podnieść, że najmniej używali tej formy stylistycznej sami gospodarze, bez względu na kolor. „Nędznik" było najsilniejszem i prawie jedynem przekleństwem, istniejącem w ich języku. Kiedy zaś — w wyjątkowych wypadkach — użył ktoś obelgi (w każdym zdaje się języku istniejącej), podającej w wątpliwość legalność pochodzenia swego przeciwnika — wiadomo było, że sprawa nie skończy się na „sucho".

Drugiego zaraz dnia po rozpoczęciu robót rozniosło się, że w „vendzie" zabito człowieka. Zresztą opowiadano to, jako zwykłą, choć dość ciekawą wiadomość. Zabity obraził zabójcę, a to jest więcej, niż gdyby go obradował. Wynikło to zdaje się na tle wiecznej animozji Hiszpanów i Portugalczyków, którzy się serdecznie nie lubią, jak to zwykle bywa w bliskiej rodzinie. Inni mówili, że nie był to Hiszpan, lecz kreol - Argentyńczyk, co ostatecznie na jedno wychodzi, bo sąsiedzi w Europie sąsiadują i w tej odległej części świata. I podobnie się nie znoszą.

Zresztą tematów do bójek było sporo w tem towarzystwie: niektórzy burzyli się (a specjalnie Hiszpanie), że muszą pracować pod nadzorem mulatów; inni zbyt łatwo obrażali się o każdą wogóle uwagę, czy żart; często bardzo wynikały nieporozumienia na tle hazardu, któremu się namiętnie oddawano pod różnemi postaciami, a wreszcie palnym materjałem było to, że w jakiś dziwny sposób obrachunki Dyrekcji nigdy nie zgadzały się z pretensjami robotników.

Zwady wynikłe na tle honoru likwidowano przeważnie bronią palną, natomiast niskie morderstwa z chęci zysku popełniano cicho — nożem, którego rzadko kto nie miał za pasem, choćby nawet nie miał chodaków.

W roli karzącej ręki sprawiedliwości — o ile już konieczna była interwencja, lub narażone były na szwank interesy Kolonizacji — występował ogromny murzyn, Virgilio, osobisty „capanga" Dyrektora Reicha.

Gromada Szuka trzymała się razem i milczała, odurzona nieco rozhukaniem i bezkarnością całej tej zbieraniny. Praca posuwała się u nich równomiernie, zwad nie było. Ta pracowitość i brak uzbrojenia wywoływały czasem złośliwe aluzje pod ich adresem, obliczone jednak na to, że nie będą zrozumiane. Virgilio, który bezczynnie spacerował między pracującymi, zaczął od pewnego czasu brać udział w tej zabawie, a ponieważ można było przypuszczać, że reprezentuje opinje „sfer miarodajnych" — wybuchy śmiechu były tem głośniejsze i swobodniejsze. Któregoś dnia Vergilio stał, jak zwykle, w pobliżu spokojnej gromady i gotował się do puszczenia jakiegoś subtelnego dowcipu, kiedy z domku Dyrekcji wyszedł sam Dyrektor. Widząc scenę, zatrzymał się i z aprobatywnym uśmiechem oczekiwał pocisku.

— Panowie! — z przesadnym celowo patosem wołał Virgilio. — Jakie zwierzę pracuje tak wytrwale, jak żaden człowiek tego nie zrobi? A zarazem jest milczące, głupie i bez dowcipu?

— Burro! Burro! — Osioł! — wykrzyknęło kilka głosów.

Gromada Szuka wiedziała już, że przezwisko to rzucają za nimi, to też nasrożyła się i ścisnęła silniej w ręku łopaty. Ale stary Szuk powiedział im przecie kiedyś:

— Wiadomo. Taki przybłęda jeden z drugim dziś tu — jutro tam i tyleś go widział. A ciebie, człowieku, łatwo znaleźć, bo na swojej ziemi będziesz siedział. I sprawiedliwości u nich jednego na drugiego też nie znajdziesz.

— Słusznie, panowie — mówił dalej Virgilio. — Osioł! — A czy osioł jest to animal „brawo", czy „mançado".

— Mançado!

— A czy osioł zawsze musi mieć ogon?

— Niekoniecznie! Niekoniecznie! — wołali znowu z tłumu i przestawszy pracować, skupiali się przy dowcipnisiu.

— Otóż mylicie się, panowie! — uroczyście zawołał murzyn. — Każdy, nawet najstarszy, osioł ma ogon. Chcecie — to wam pokażę?

Tu zrobił kilka kroków w stronę starego Szuka, który schylony — kopał niedaleko i pociągnął go za rzemień, który mu wyglądał ztyłu, z pod kurtki. Tłum wybuchnął śmiechem.

Ależ już w następnej chwili rozegrały się wypadki tak szybko, że nikt nie zdołał im zapobiedz. Nikt ich zresztą nie oczekiwał. Stary Szuk odwrócił się szybko i łopatą, pełną jeszcze ziemi, z ogromnego rozmachu trzepnął głucho w twarz Virgilia. Uderzenie napozór nie było silne, ale po wahnięciu się głowy murzyna można było ocenić jego istotne natężenie. Ale i to nie tłumaczyło jeszcze dziwnych rzeczy, które wyrabiał Virgilio: piał on jakimś dziwnym świszczącym głosem i machał rękami, jak człowiek tonący. Był to skutek ziemi, która zatkała mu otwarte usta i mimo, że nie było to wcale wesołe dla delikwenta — zmiennemu tłumowi wydało się to niesłychanie komiczne. Dawali temu wyraz w niepohamowany sposób, przysiadając i bijąc się po udach. Virgilio usiadł i piejąc w dalszym ciągu, szukał poomacku swojej brzytwy, którą władał z niesłychaną zręcznością, a nawet pono umiał rzucać tak, że trafiała wprost w gardło przeciwnika. Tym razem jednak był istotnie unieszkodliwiony.

(D. c. n.).

V. WILLIAMS.

9) # TRÓJKA TREFL

Śnieg, który spadł w wielkiej ilości, tworzył pod ich stopami puszysty kobierzec. Szli teraz przez spokojną ulicę Wolfsbau, w stronę hotelu, gdzie czekały sanie Walerji. Z oświetlonych okien padało żółte mdłe światło na wirujące płatki śniegu. Jakieś odgłosy pomieszane z melodją cygańskiej orkiestry dochodziły z małej kawiarenki. Pozatem było cicho i odludnie.

W chwili, gdy przechodzili pod jej oknami rzęsiście oświetlonemi, usłyszeli głośny galop nadjeżdżających koni. Oparli się o mur, gdyż nieomal jednocześnie ukazały się sanie, sunące z zawrotną szybkością przez ulicę.

Woźnica popędzał konie. Obok niego nawpół uniesiony Maks Rubis zdawał się chcieć przyspieszyć biegu. Twarz jego — zauważył Godfrey — była blada ze strachu.

W tej chwili Cairsdale przypomniał sobie, że droga, prowadząca z zamku Kès na stację w Haczu, przecinała Wolfsbad.

VIII.

RADA DOKTORA NAGY.

Godfrey Cairsdale, wchodząc do hotelu za Walerją, potrącił jakiegoś człowieczka, który właśnie opuszczał hotel.

Ujrzawszy Godfreya, mały człowieczek uniósł ramiona, a z poza okularów oprawnych w złoto zajaśniało radosne spojrzenie.

— Bogu dzięki, Herr Kolego! — zawołał, że mamy taką pogodę, i można trochę odpocząć po trudach archeologicznych! Pójdzie pan ze mną do kawiarni, i zagramy przed obiadem partyjkę taroka.

— Byłbym niezmiernie rad, panie doktorze, — odparł młody mężczyzna — ale, jak pan widzi, nie jestem sam.

— Doktór Nagy, archeolog z Hacza, odwrócił się i odprowadził spojrzeniem Walerję.

— Ho, ho, ho! — mruknął — jest pan w towarzystwie damy. Co za figura! Jaka szykowna! Ale chyba nie mieszkanka Wolfsbadu.

— Nie — odpowiedział Godfrey.

— Czy to krewna hrabiego Aranyi? Słyszałem, że oczekują go w Wolfsbadzie.

— Nie — odparł równie lakonicznie Godfrey.

— Jaki pan tajemniczy — uśmiechnął się dobrodusznie doktór Nagy, — kto to jest?

— Baronowa von Griesbach.

— Austrjaczka?

— Jest to — rzekł Cairsdale, przyzwyczajony poniekąd do nienasyconej ciekawości profesora — raczej Węgierka, wdowa po Niemcu...

— Doprawdy! — zdziwił się doktór — i mieszka w Wolfsbadzie?

— Nie, bawi w zamku Kès.

Na twarzy doktora Nagy odmalowało się widoczne zdumienie. Otworzył szeroko oczy, odemknął usta i powtórzył.

— W zamku Kès? U hrabiego Gellerta?

— Tak jest — potwierdził Godfrey.

— Wielki Boże! — zawołał doktór Nagy, zdejmując okulary i trąc je gwałtownie chusteczką.

— Pan jest zdziwiony? — zapytał Godfrey.

— Wielki Boże! — powtórzył archeolog, nakładając okulary i spoglądając na Walerję, której sylwetka była zaledwie widoczna w halli słabo oświetlonego hotelu.

— Może zainteresuje pana wiadomość, drogi panie profesorze — rzekł Godfrey — iż ja również przeprowadzam się do zamku Kès.

Uczony odwrócił się gwałtownie. Zniknął krotochwilny ton i głosem bardzo poważnym zwrócił się do Godfreya.

— Ojczyzny nasze były wrogiemi sobie i nawet w chwili obecnej Anglja nie jest przychylnie usposobiona względem Węgier. Lecz mam dla pana, Herr Cairsdale, wielką sympatję. Mój wiek upoważnia mnie do udzielenia panu rady. Niech pan nie jedzie do Kès.

— Dlaczego?

Doktór Nagy zapinał niedbale swoje palto.

— Dlaczego? — powtórzył Anglik.

Doktór Nagy położył rękę na klamce.

— Zna pan hrabiego Gellerta? — zapytał, spoglądając prosto w twarz młodemu mężczyźnie.

— Nie — odparł Godfrey.

— Przypuszczałem, że pan go nie zna. Jeżeli zechce pan pójść za moją radą, to będzie pan się starał uniknąć tej znajomości za wszelką cenę, i skłoni pan tę panią — o ile się nią pan interesuje — ażeby natychmiast opuściła zamek Kès. Mam po temu swoje powody.

Ukłonił się ceremonjalnie i otworzył drzwi.

Godfrey chwycił go za ramię i zawołał błagalnym tonem.

— Panie doktorze! Niech mi pan wytłomaczy.

— Przyjacielu, proszę usłuchać mojej rady i nie jechać do Kès.

Po tych zagadkowych słowach zniknął na dziedzińcu pokrytym śniegiem, pozostawiając zdumionego Godfreya jego własnym rozmyślaniom.

Po chwili rozległ się głos Walerji.

— Obstalowałam kawę. Sanie muszą być w stajni. Może pan każe powiedzieć woźnicy, ażeby zajechał po nas.

Godfrey poszedł w głąb hotelu. Znał zarządzającą. Była nią śliczna Austrjaczka o czarnych włosach i długich rzęsach.

— Panno Anno — rzekł — sanie z zamku Kès są podobno w stajni. Może pani pośle kogoś, ażeby podjechały.

Młoda dziewczyna otworzyła szeroko oczy, sądząc, że nie zrozumiała — Godfrey powtórzył.

— Niech sanie z zamku Kès podjadą natychmiast.

— Czy pan jedzie do zamku Kès? — zapytała wolno i z naciskiem.

— Owszem — odpowiedział Godfrey, zaskoczony dziwnym tonem, jakim zadała mu pytanie.

Uniosła ręce do góry, przesłaniając niemi twarz, na której malowało się najwyższe przerażenie. Następnie, nie odzywając się słowem, nacisnęła dzwonek.

Zjawił się służący.

— Józefie — rzekła po węgiersku. — Pan życzy sobie, ażeby podjechały sanie z Kès.

Służący, mężczyzna wysoki i barczysty, o małych nieufnych oczach, uczynił dziwny wyraz twarzy. Następnie, obrzucił badawczem spojrzeniem Godfreya i powiedział z odcieniem zdziwienia:

— Sanie z Kès.

— Tak, sanie z Kès.

Służący wzruszył ramionami i wyszedł.

Wszystko to: zachowanie i rada doktora Nagy, przerażenie panny Anny, zdziwienie służącego podnieciło ciekawość młodego dyplomaty.

Wrócił do Walerji. Czuł się doskonale w jej towarzystwie, gdyż przeszło od tygodnia nie rozmawiał z żadną kobietą ze swojego środowiska, a zawsze czuł pociąg do kulturalnych, inteligentnych i miłych kobiet.

Wdzięczne obejście Wirginji, jej głos ciepły i słodki, nieporównana wytworność działały kojąco na nerwy Godfreya, które trwały w nieustającem napięciu od owej pamiętnej wilji Nowego Roku.

Teraz — gdy przyglądał się jej lepiej w jasnem świetle lamp elektrycznych — zauważył, że minione lata odbiły się na wyrazie tej słodkiej ongi i rozmarzonej twarzyczki. Była znacznie spokojniejsza i można nawet rzec, że cechowała ją pewna wyniosłość. Nie bez zdziwienia, zauważył w jej czarnych oczach wyraz niezmiernej energji, a nawet ambicji. Głowę nosiła dumnie wzniesioną, nozdrza drżały, usta miały zacięty wyraz.

Dzwonki sanek i rżenie koni na dziedzińcu oznajmiły, że czas ruszyć w drogę. Sanki były doprawdy bardzo oryginalne. Kształtem przypominały wielkiego łabędzia z rozpostartemi skrzydłami. Malowane były na kolor zielony i staro-złoty. Z tyłu znajdowała się wązka ławeczka dla woźnicy. Godfrey przypomniał sobie, że widywał takie sanie na starych sztychach, przedstawiających dworskie zimowe zabawy w Wersalu.

Wiadomość o odjeździe cudzoziemca w towarzystwie młodej kobiety rozniosła się najwidoczniej po całym hotelu, gdyż na progu przed domem czekała mała gromadka, składająca się z panny Anny, zarządzającego hotelem, służącego i woźnicy.

Godfrey znał ich wszystkich i znowu zaskoczył go wyraz twarzy i lodowate milczenie, w jakiem przyglądali mu się, gdy zajmował miejsce obok Walerji pod grubym pledem, podszytym futrem.

Zdawało mu się, że zamieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia, podczas gdy brodaty woźnica ciągnął za lejce. Konie poderwały się z miejsca.

Godfrey Cairsdale pomyślał, iż hrabia Gellert nie musiał się cieszyć popularnością i sympatją w okolicy. Jął przeto wypytywać o niego swoją towarzyszkę.

— Jest to potomek bardzo starej, węgierskiej rodziny. Żyje w odosobnieniu, gdyż nie jest zamożny, a także dla innych powodów. Hrabia Gellert jest... ułomny. Jest karłem i czuje się z tego powodu bardzo nieszczęśliwym. Oto przyczyna, dla której żyje od lat w najzupełniejszem odosobnieniu. Biorąc pod uwagę, że wszelkie przesądy mają swoje źródło w ciemnocie, zrozumiesz prędko, kochany Godfreyu, iż ludność okoliczna lęka się zamku Kès, oraz jego właściciela. Gdybyś słyszał, co mówią o nim, zdawałoby ci się, że to wcielenie djabła. Ale on jest człowiekiem bardzo wykształconym i prawdziwym artystą.

— Czy ma żonę? — zapytał Cairsdale.

— Nie! — odrzekła twardo.

Następnie, by złagodzić ton, jakim odpowiedziała, dodała cieplejszym głosem:

— Szczęśliwym wynikiem wojny był ten, iż zniesiono dworską etykietę. Nie musi towarzyszyć mi nikt i za jedyną swoją opiekunkę uznaję panią von Matsera. Przeżył się ceremonjał cesarskich czasów.

Godfrey roześmiał się.

— Ale tego nie musi pani brakować, droga Walerjo — zauważył.

— Mój kochany Godfreyu! — szepnęła, chwytając go za rękę.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Twój śmiech przypomniał mi całą przeszłość. Jaki zimny byłeś, jaki obojętny tam na wzgórzu, witając mnie okrzykiem: „Jej książęca mość". Zdawało mi się, że słyszę naszego starego mistrza ceremonji w Hofburgu. Godfrey, powiedz mi, zmieniłam się bardzo?

— Jesteś piękniejsza, niż kiedykolwiek, Walerjo! — odpowiedział.

— A ty, nie jesteś już taki sam. Dawniej mój anglik (tak cię nazywałam) byłby mnie porwał w ramiona i tulił aż do utraty tchu, a teraz...

Uścisnęła jego dłoń.

— Droga — rzekł — przez długie miesiące i lata starałem się czynić wszystko, co w mocy człowieka, ażeby cię zapomnieć. Dziś nawet, gdy owiewa mnie zapach twoich perfum, czuję się do głębi poruszony i stara rana roztwiera się...

— Więc aż tak mnie kochałeś — szepnęła — drogi, drogi Godfreyu.

Poczuł na swojem ramieniu pieszczotę nachylającej się ku niemu Wirginji. Przytuliła się do niego gorąco. Ale nie drgnął nawet. Czując, że jest tak spokojny, doznał jednocześnie wrażenia zadowolenia i przykrości.

Był rad, że Wirginja wykreśliła z jego uczuć tamtą kobietę. A było mu przykro, gdyż mężczyzna, który spogląda bez bicia serca w twarz dawnej miłości, stanął już poza granicą pierwszej młodości.

Dziwnem wydało mu się, że uczucie, którego doznawał z tak wielką siłą, przed laty, umarło już, nie pozostawiając po sobie żadnego żalu, śladu, popiołów. Przegrody dzielące Godfreya od Walerji zostały usunięte. Jej uroda nie straciła nic z dawnego blasku, była zawsze jednakowo fascynująca. A jednak wyraz płomiennych czarnych oczu, zmysłowość, jaką wyczuwał w niej, nie budziła w nim żadnego pożądania. Myślał o Wirginji i porównywał ją mimowoli z młodą kobietą, znajdującą się u jego boku. Wyczarowywał w myśli obraz Jenny, jej popielate włosy o złocistym odcieniu, słodycz jej twarzy, świeżość cery i ten radosny zapał, z jakim potrafiła mówić o niebie, krajobrazie i całej przyrodzie.

Następnie przypomniał sobie atmosferę zepsucia, w jakiej wychowała się Walerja, dwór i towarzystwo mało dobrane, jej złe skłonności, lekkomyślność, liczne miłostki...

Po nagłem rozstaniu nie napisała więcej do niego i zrozumiał już dawno, że był tylko jedną z licznych przygód miłosnych w jej życiu.

W tej chwili przypomniał sobie różne skandaliczne ploteczki, krążące o niej w świecie dworsko-dyplomatycznym, które opowiadał o niej Euan Mac Tavish.

A działo się to w niemieckiem ksiąstewku, gdzie śliczna Walerja królowała u boku swojego małżonka; była mowa o jakiemś samobójstwie... wygnanym lekarzu...

(D. c. n.).